

ALCATRAZ

KONTRA BIBLIOTEKARZE

#1 PIASEK RASZIDA



BRANDON
SANDERSON



ALCATRAZ

KONTRA BIBLIOTEKARZE

ALCATRAZ KONTRA BIBLIOTEKARZE

#1 PIASEK RASZIDA

BRANDON
SANDERSON

Ilustracje: HAYLEY LAZO

Przekład: JACEK DREWNOWSKI



Tytuł oryginału
Alcatraz and The Evil Librarians

Copyright © 2007 by Dragonsteel Entertainment, LLC
Illustrations copyright © 2016 by Dragonsteel Entertainment, LLC
All rights reserved.

Illustrations by Hayley Lazo
Copyright © for the Polish translation by Jacek Drewnowski, 2017
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo IUVI, 2017

Opracowanie redakcyjne i DTP
Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl)

Redakcja
Katarzyna Kolowca-Chmura

Korekta
Teresa Zielińska

Typografia i skład
Anna Cupiał

Projekt okładki
Katarzyna Fus

Wydanie I, Kraków 2017
ISBN 978-83-7966-029-2

IUVI

www.iuvi.pl
www.facebook.com/WydawnictwoIUVI
biuro@iuvi.pl

Wydawnictwo IUVI jest patronem konkursu Świat Przyjazny Dziecku
organizowanego przez Komitet Ochrony Praw Dziecka



*Mojemu ojcu, Winnowi Sandersonowi,
który kupował mi książki*

Przedmowa autora

Nie jestem dobrym człowiekiem.

O, wiem, co o mnie opowiadają. Nazywają mnie *Oculatorem Dramatusem*, herosem, wybawcą Dwunastu Królestw... To jednak tylko pogłoski. Niektóre są przesadzone. Wiele innych to zwykłe kłamstwa. Prawda jest znacznie bardziej prozaiczna.

Gdy pan Bagsworth przyszedł do mnie i zaproponował, bym napisał autobiografię, wahałem się. Wkrótce jednak zrozumiałem, że to doskonała okazja, by wytłumaczyć się przed opinią publiczną.

O ile dobrze rozumiem, książka zostanie wydana jednocześnie w Wolnych Królestwach i Bibliotekarii Wewnętrznej. Stanowi to dla mnie pewien kłopot, gdyż muszę się postarać, by opowieść była zrozumiała dla ludzi z obu obszarów. Ci z Wolnych Królestw mogą nie znać takich rzeczy jak bazuki, aktówki lub pistolety. Z kolei mieszkańcy Bibliotekarii – czy też Ciszlandów, jak się ją często nazywa – zapewne nic nie wiedzą o okulatorach, krystynie i głębi bibliotekarskiego spisku.

Tym z was, którzy mieszkają w Wolnych Królestwach, radzę znaleźć jakąś encyklopedię – wybór jest bardzo szeroki – która wyjaśni nieznanne terminy. W końcu ta książka ukaże się w waszych krainach jako biografia i nie jest moim zadaniem przekazywanie wam wiedzy o dziwnych maszynach i archaicznym

uzbrojeniu z Bibliotekarii. Mój cel to przedstawienie wam prawdy o mnie i udowodnienie, że nie jestem takim bohaterem, za jakiego wszyscy mnie uważają.

W Ciszlandach – krajach kontrolowanych przez Bibliotekarzy, takich jak Stany Zjednoczone, Kanada i Anglia – książka zostanie wydana jako powieść fantastyczna. Nie dajcie się zwieść! To nie żadna fikcja, a ja tak naprawdę nie nazywam się Brandon Sander-son. Jedno i drugie to kamuflaż, by ukryć książkę przed bibliotekarskimi agentami. Niestety obawiam się, że pomimo tych środków ostrożności Bibliotekarze odkryją ją i jej zabronią. W takim wypadku nasi agenci Wolnych Królestw będą musieli zakradać się do bibliotek i księgarń, by podkładać ją na półki. Dopisało wam szczęście, skoro znaleźliście jeden z tych tajnych egzemplarzy.

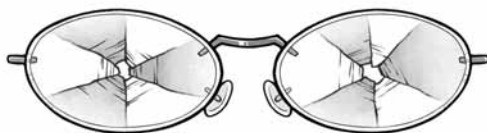
Wiem, że wam, Ciszlandczykom, wydarzenia z mojego życia mogą się wydawać cudowne i tajemnicze. Zrobię, co w mojej mocy, by je wyjaśnić, ale pamiętajcie, proszę, że moim zamiarem nie jest dostarczenie wam rozrywki. Pragnę otworzyć wam oczy na prawdę.

Wiem, że to dzieło nie przysporzy mi przyjaciół w żadnym z tych dwóch światów. Ludzie nigdy nie są zadowoleni, gdy ujawniasz, że tkwią w błędnych przekonaniach.

Ale muszę to zrobić. Oto moja historia – historia samolubnego, godnego pogardy głupca.

Historia tchórza.





Leżałem przywiązany do ołtarza wykonanego z przestarzałych encyklopedii i miałem zostać złożony w ofierze mocom ciemności przez wyznawców kultu mrocznych Bibliotekarzy.

Jak sobie pewnie wyobrażacie, tego rodzaju sytuacja może być wysoce niepokojąca. Stan takiego zagrożenia wyprawia z mózgiem dziwne rzeczy – człowiek często zastanawia się nad swoim życiem. Jeśli nigdy nie znaleźliście się w podobnym położeniu, musicie mi po prostu uwierzyć na słowo. Jeśli zaś znaleźliście się w podobnym położeniu, to najprawdopodobniej już nie żyjecie i nie macie zbyt wielu szans, by to przeczytać.

W moim wypadku perspektywa rychłej śmierci przywołała myśl o rodzicach. Była to dziwna myśl, bo nie dorastałem przy nich. W sumie aż do trzynastych urodzin wiedziałem o moich rodzicach tylko jedno: że mieli spalone poczucie humoru.

Dlaczego tak twierdzę? Widzicie, rodzice nazywali mnie Al. Najczęściej jest to skrót od Alberta, całkiem zacnego imienia.

Pewnie poznaliście w życiu jakiegoś Alberta, a może dwóch, i niewykluczone, że byli porządnymi ludźmi. Jeśli nie, to z pewnością nie z winy imienia.

Nie nazywam się Albert.

Al może też być zdrobnieniem od Aleksandra. Też by mi pasowało, bo Aleksander to wspaniałe imię. Brzmi jakby po królewsku.

Nie nazywam się Aleksander.

Z pewnością zdołacie wymyślić inne imiona, od których może pochodzić Al. Alfonso brzmi dość ładnie. Alan też byłby do przyjęcia, podobnie jak Alfred – chociaż nie mam skłonności do pracy lokaja.

Nie nazywam się Alfonso, Alan ani Alfred. Nie nazywam się też Alejandro, Alton, Aldris czy Alonzo.

Nazywam się Alcatraz. Alcatraz Smedry. Niektórym z was, mieszkańców Wolnych Królestw, moje imię może imponować. No i wspaniałe, tyle że wychowywałem się w Ciszlandach, w Stanach Zjednoczonych. Nie słyszałem o okulatorach ani niczym podobnym, ale słyszałem o więzieniach.

I dlatego uznałem, że moi rodzice musieli mieć spaczony poczucie humoru. Inaczej dlaczego mieliby wybrać nazwę najbardziej osławionego więzienia w dziejach USA na imię dla dziecka?

W swoje trzynaste urodziny uzyskałem kolejne potwierdzenie, że moi rodzice byli naprawdę okrutnymi ludźmi. Właśnie tego dnia niespodziewanie dostałem pocztą jedyny spadek, jaki mi zostawili.

Był to woreczek piasku.

Gdy listonosz już odjechał, stałem w drzwiach, patrząc na paczkę w swoich rękach i marszcząc brwi. Paczka wydawała się stara – sznurek pakowy był postrzępiony, a brązowy papier sfatygowany i wyblakły. Wewnątrz znalazłem pudełko, a w nim krótki liścik.

Alcatrazie,

wszystkiego najlepszego z okazji trzynastych urodzin!

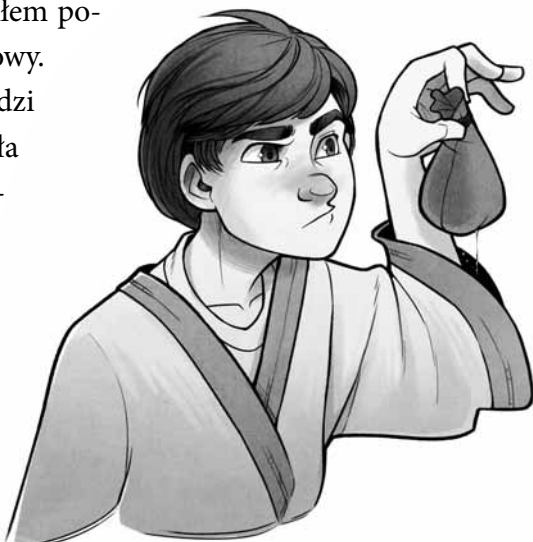
Oto Twój spadek, zgodnie z obietnicą.

Kochamy Cię, Mama i Tata

Pod liścikiem leżał woreczek z piaskiem. Mały, może wielkości pięści, wypełniony zwyczajnym, brązowym piaskiem z plaży.

W pierwszym odruchu pomyślałem, że ta paczka to żart. Wy zapewne uznalibyście tak samo. Ale jedna rzecz sprawiła, że się zawahałem. Odstawiłem pudełko, a potem wygładziłem pognieciony papier pakowy.

Jedna z krawędzi papieru pokryta była dziwnymi gryzmołami – podobne zostawia ktoś, kto próbuje zmusić pióro, by popłynął z niego



atrament. Z przodu widniały słowa. Wyglądały na dawno napisane i wyblakłe, miejscami były niemal nieczytelne, a jednak precyzyjnie układały się w mój adres. Adres, pod którym mieszkałem dopiero osiem miesięcy.

Niemożliwe, pomyślałem.

Potem wszedłem do swojego domu i wywołałem pożar w kuchni.

W końcu ostrzegałem, że nie jestem dobrym człowiekiem. Ci, którzy znali mnie, gdy byłem młodszy, nigdy by nie uwierzyli, że kiedyś będę uznawany za bohatera. Słowo „bohaterstwo” po prostu mnie nie dotyczyło. Nikt nie używał też do opisu mojej osoby słów takich jak „miły” czy też „życzliwy”. Ktoś mógł posłużyć się słowem „sprytny”, choć wydaje mi się, że właściwsze byłoby „podstępny”. „Niszczycielski” – to też często słyszałem, ale nie przejmowałem się. (Akurat to określenie nie było aż tak trafne).

Nie, nigdy nie mówiono o mnie dobrze. Dobrzy ludzie nie wywołują pożarów w kuchniach.

Wciąż trzymając dziwną paczkę, ruszyłem w stronę kuchni moich przybranych rodziców, pogrążony w myślach. Była to bardzo ładna kuchnia, o nowoczesnym wyglądzie, z białą tapetą i mnóstwem błyszczących, chromowanych sprzętów. Każdy, kto do niej wchodził, musiał natychmiast zauważyć, że to kuchnia osoby dumnej ze swoich zdolności kulinarnych.

Postawiłem paczkę na stole, a potem podszedłem do kuchenki. Jeśli jesteś Ciszlandczykiem, uznałbyś, że wyglądam jak w miarę normalny amerykański chłopiec w luźnych dżinsach

i koszulce. Mówiono mi, że jestem ładnym dzieckiem – niektórzy twierdzili nawet, że mam „niewinną buzię”. Byłem niezbyt wysoki, miałem ciemnokasztanowe włosy i umiejętność psucia różnych rzeczy.

Wybitną umiejętność.

Kiedy byłem mały, starsze dzieci nazywały mnie ciamajdą. Zawsze wszystko niszczyłem: talerze, aparaty fotograficzne, kury. Gdy brałem coś do rąk, wydawało się nieuniknione, że upuszczę to, połamię albo uszkodzę w inny sposób. Wiem, nie jest to najbardziej zachwycający talent u młodego człowieka. Mimo wszystko jednak starałem się robić wszystko jak najlepiej.

Tak jak tamtego dnia. Wciąż myśląc o dziwnej paczce, nalałem wody do garnka. Następnie wyjąłem kilka paczek z błyskawicznymi zupkami z makaronem. Odłożyłem je i popatrzyłem na kuchenkę. Był to efektowny model gazowy, z prawdziwymi palnikami. Moja przybrana matka Joan nie zadowoliliby się elektrycznymi.

Czasami świadomość, że tak łatwo wszystko psuję, działała na mnie zniechęcająco. Ta prosta klątwa zdawała się dominować nad całym moim życiem. Może niepotrzebnie próbowałem zrobić sobie obiad. Może trzeba było po prostu iść do pokoju. Ale co miałem robić? Siedzieć tam cały czas? Nigdy nie wychodzić, martwić się, co mógłbym zniszczyć? Pewnie, że nie.

Wyciągnąłem rękę i włączyłem gazowy palnik.

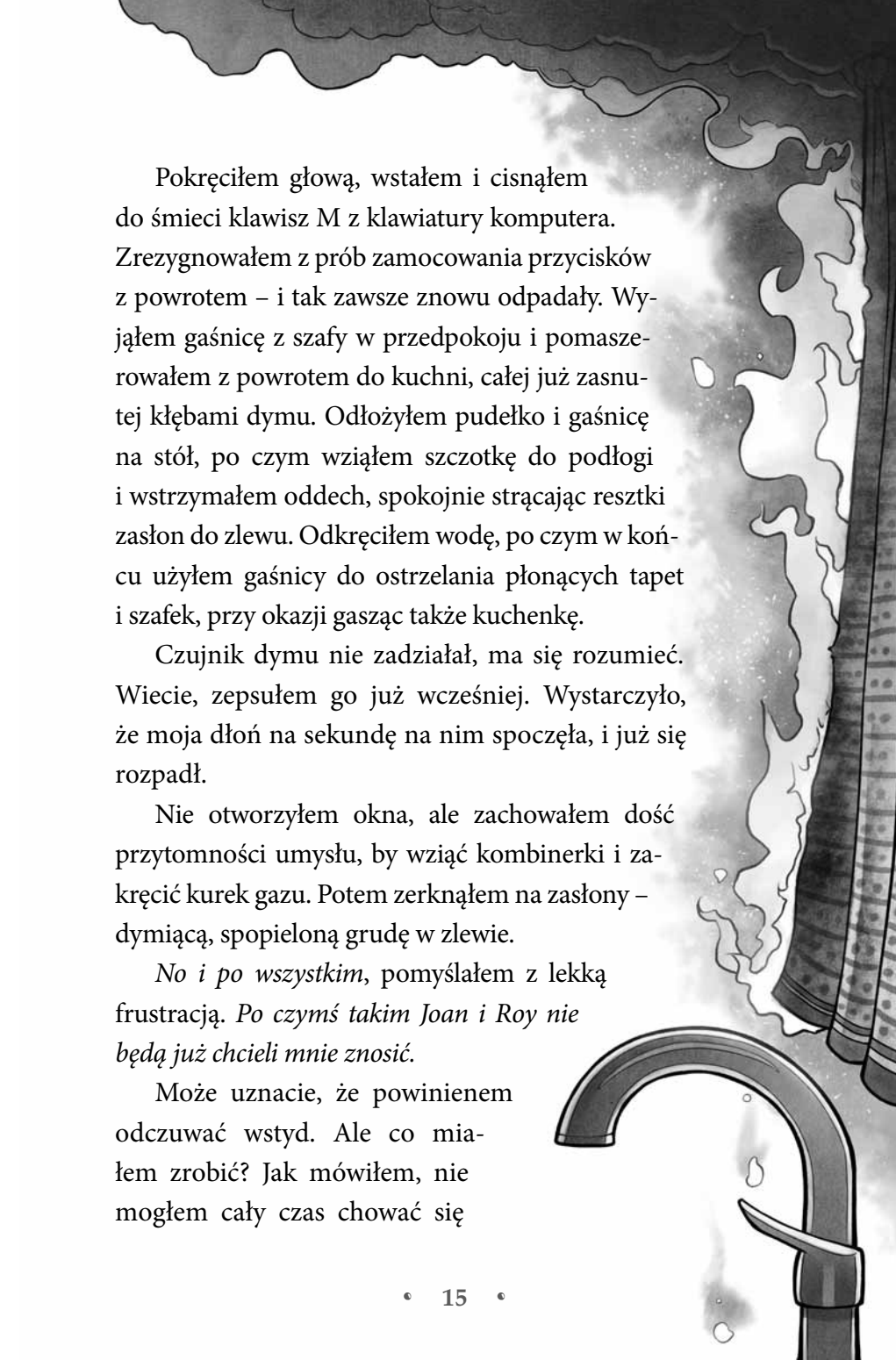
Oczywiście płomień natychmiast buchnęły z boków garnka, znacznie wyżej, niż powinno być to możliwe. Szybko

spróbowałem zgasić ogień, ale pokrętko oderwało się i zostało mi w dłoni. Usiłowałem złapać garnek i zdjąć go z kuchenki. Ale, ma się rozumieć, rączka się odłamała. Przez chwilę patrzyłem na tę odłamaną rączkę, a potem spojrzałem na płomienie. Migozcząc, zajęły zasłony. Ogień zaczął radośnie pożerać tkaninę.

No, to by było tyle, pomyślałem z westchnieniem, odrzucając odłamaną rączkę przez ramię. Zostawiłem płonący ogień – znowu muszę wam chyba przypomnieć, że nie jestem zbyt miłym człowiekiem – podniosłem swoją dziwną paczkę i poszedłem do pokoju.

Tam ściągnąłem brązowy papier i rozprostowałem go na stole, patrząc na znaczki pocztowe. Na jednym widniał wizerunek kobiety w goglach lotniczych, ze staroświeckim samolotem w tle. Wszystkie znaczki wyglądały na stare – może miały tyle lat co ja. Włączyłem komputer, by sprawdzić bazę danych z datami wydania znaczków, i okazało się, że mam rację. Wydrukowano je przed trzynastoma laty.

Ktoś zadał sobie dużo trudu, by wyglądało na to, że mój prezent został zapakowany, zaadresowany i ofrankowany ponad dekadę wcześniej. To było jednak niedorzeczne. Skąd nadawca miałby wiedzieć, gdzie będę mieszkał? Przez ostatnie trzynaście lat miałem dziesiątki zastępczych rodziców. Poza tym według mojego doświadczenia liczba znaczków potrzebnych do nadania paczki rośnie bez ostrzeżenia i bez wzorca. (Jestem przekonany, że pocztowcy są w tym względzie dość sadystyczni). Nie było mowy, by ktoś trzynaście lat temu znał koszt wysłania paczki w moich, przyszłych czasach.

The illustration is a black and white line drawing. The top half shows a large, billowing fire with flames and smoke rising from the right side. The bottom right corner shows a close-up of a curved faucet with water dripping from it. The background is a dark, smoky grey.

Pokręciłem głową, wstałem i cisnąłem do śmieci klawisz M z klawiatury komputera. Zrezygnowałem z prób zamocowania przycisków z powrotem – i tak zawsze znowu odpadały. Wyjąłem gaśnicę z szafy w przedpokoju i pomaszerowałem z powrotem do kuchni, całej już zasnutej kłębam dymu. Odłożyłem pudełko i gaśnicę na stół, po czym wziąłem szczotkę do podłogi i wstrzymałem oddech, spokojnie strącając resztki zasłon do zlewu. Odkręciłem wodę, po czym w końcu użyłem gaśnicy do ostrzelania płonących tapet i szafek, przy okazji gasząc także kuchenkę.

Czujnik dymu nie zadziałał, ma się rozumieć. Wiecie, zepsułem go już wcześniej. Wystarczyło, że moja dłoń na sekundę na nim spoczęła, i już się rozpadł.

Nie otworzyłem okna, ale zachowałem dość przytomności umysłu, by wziąć kombinerki i zakręcić kurek gazu. Potem zerknąłem na zasłony – dymiącą, spopieloną grudę w zlewie.

No i po wszystkim, pomyślałem z lekką frustracją. Po czymś takim Joan i Roy nie będą już chcieli mnie znosić.

Może uznacie, że powinienem odczuwać wstyd. Ale co miałem zrobić? Jak mówiłem, nie mogłem cały czas chować się

w swoim pokoju. Miałem unikać życia tylko dlatego, że to życie było dla mnie nieco inne niż dla zwykłych ludzi? Nie. Nauczyłem się radzić sobie ze swoją dziwną klątwą. Doszedłem do wniosku, że inni też muszą się nauczyć.

Usłyszałem samochód na podjeździe. Uświadomiwszy sobie wreszcie, że w kuchni wciąż cuchnie dymem, otworzyłem okno i zacząłem wachlować ręcznikiem. Moja przybrana matka Joan wpadła do kuchni chwilę później. Stała przerażona, patrząc na wywołane ogniem zniszczenia.

Odrzuciłem ręcznik na bok i wyszedłem bez słowa, kierując się na górę, do swojego pokoju.

* * *

– Ten chłopak to katastrofa!

Głos Joan poniósł się przez otwarte okno do mojego pokoju. Przybrani rodzice rozmawiali w gabinecie na parterze, w swoim ulubionym miejscu na „ciche” dyskusje na mój temat. Na szczęście jedną z pierwszych rzeczy, które zepsułem w domu, były zawiasy okien w gabinecie, co zablokowało je w pozycji otwartej, mogłem zatem słuchać.

– Spokojnie, Joan – przemówił pojednawczy głos. Należał do Roya, mojego przybranego ojca.

– Nie mogę tego znieść! – wyrzuciła z siebie Joan. – Niszczą wszystko, czego dotkniesz!

Znowu padło to słowo. „Niszczą”. Poczulem, że z irytacji jeżą mi się włosy. *Nie niszczyć rzeczy*, pomyślałem. *Psuję*

je. Kiedy skończę, nadal są na swoich miejscach, tyle że już nie działają, jak powinny.

– Chce dobrze – powiedział Roy. – To miły chłopiec.

– Najpierw pralka – wyliczała Joan. – Potem kosiarka. Potem łazienka na piętrze. Teraz kuchnia. Wszystko w niecały rok!

– Miał ciężkie życie – odparł Roy. – Po prostu za bardzo się stara... Jak byś się czuła, gdyby przekazywano cię z jednej rodziny do drugiej i nigdy nie miałabyś domu?

– A czy można ludzi winić, że chcą się go pozbyć? Ja...

Przerwało jej pukanie do drzwi wejściowych. Na chwilę zapadła cisza, a ja wyobrażałem sobie, co się dzieje między moimi przybranymi rodzicami. Zapewne Joan posyłała Royowi „to spojrzenie”. Zazwyczaj to mąż posyłał „to spojrzenie”, nalegając, by mnie odesłać. Tutaj jednak to Roy był zawsze miękki. Dobiegły mnie jego kroki, gdy ruszył do drzwi, by otworzyć.

– Proszę wejść – powiedział Roy, a jego głos brzmiał cicho, bo dochodził teraz z przedpokoju. Dalej leżałem na łóżku. Wciąż był wczesny wieczór, słońce nawet jeszcze nie zaszło.

– Pani Sheldon – rozległ się na dole nowy głos, zwracając się do Joan. – Przyjechałam, gdy tylko dowiedziałam się o wypadku. – Był to kobiecy głos, który znałem. Poważny, oschły i dość protekcyjny. Może była to jedna z przyczyn, dla których panna Fletcher nie wyszła za mąż.

– Panno Fletcher – powiedziała Joan i teraz, gdy nadszedł czas, głos jej się łamał. Zwykle tak było. – Ja... przepraszam, że...

– Nie – odparła panna Fletcher. – Dobrze, że wytrzymali państwo tak długo. Mogę zorganizować zabranie chłopca jutro.

Zamknąłem oczy z cichym westchnieniem. Joan i Roy wytrzymali dość długo – bez wątpienia dłużej niż którykolwiek z moich niedawnych zastępczych rodziców. Osiem miesięcy to godny podziwu wyczyn, gdy chodzi o opiekę nade mną. Poczulem lekki skurcz w żołądku.

– Gdzie teraz jest? – spytała panna Fletcher.

– Na górze.

Czekałem w ciszy. Panna Fletcher zapukała, ale nie czekała, aż się odezwę, i otworzyła drzwi.

– Panno Fletcher – powiedziałem. – Ślicznie pani wygląda.

Było to naciągane stwierdzenie. Panna Fletcher – moja osobista kuratorka – może i byłaby ładną kobietą, gdyby nie nosiła ohydnych okularów w rogowej oprawie. Jasne włosy miała wiecznie upięte w kok, który był tylko trochę mniej zaciśnięty niż linia jej niezadowolonych ust. Miała na sobie prostą białą bluzkę i czarną spódnice sięgającą połowy łydek. Jak na nią był to śmiały strój – w końcu buty nosiła brązowe.

– Kuchnia, Alcatraz? – spytała. – Dlaczego kuchnia?

– To był wypadek – mruknąłem. – Próbowałem zrobić coś miłego dla swoich przybranych rodziców.

– Uznałeś, że będziesz miły dla Joan Sheldon, jednej z najlepszych i najbardziej uznanych kucharek w mieście, jeśli spalisz jej kuchnię?

Wzruszyłem ramionami.



– Chciałem tylko ugotować obiad. Myślałem, że nawet ja nie zepsuję zupek błyskawicznych.

Panna Fletcher prychnęła. W końcu weszła do pokoju, kręcąc głową, gdy mijała moją komodę. Wyciągnęła palec wskazujący w stronę paczki ze spadkiem i chrząknęła cicho, omiatając spojrzeniem pomiętą papier i sfatygowany sznurek. Miała obsesję na punkcie bałaganu. Odwróciła się do mnie.

– Kończą nam się rodziny, Smedry. Inne pary słyszą pogłoski. Niedługo nie zostanie żadne miejsce, w które można by cię posłać.

Zachowałem milczenie, wciąż w pozycji leżącej.

Panna Fletcher westchnęła, krzyżując ręce i stukając się palcem wskazującym w ramię. Gapiłem się w sufit.

– Nie masz ojca ani matki – powiedziała. – Pasożytujesz na systemie. Dostałeś drugą, trzecią, a teraz dwudziestą siódmą szansę. I jak odpowiedziałeś na tę szczodrość? Obojętnością, brakiem szacunku i niszczytelstwem!

– Niczego nie niszczę – powiedziałem cicho. – Psuję. To różnica.

Panna Fletcher z niesmakiem pociągnęła nosem. Potem mnie zostawiła, a wychodząc, z trzaskiem zamknęła drzwi. Usłyszałem, jak żegna się z Sheldonami i obiecuje, że rano przyjdzie jej asystent, by się mną zająć.

Szkoda, pomyślałem z westchnieniem. Roy i Joan to naprawdę dobrzy ludzie. Byliby z nich wspaniali rodzice.



Pewnie zastanawia was początek poprzedniego rozdziału, wzmianka o mrocznych Bibliotekarzach, ołtarzach z encyklopedii i to ogólne poczucie w stylu: „O nie! Złożą Alcatraza w ofierze!”

Zanim do tego dojdziemy, pozwólcie, że wyjaśnię coś na swój temat. Robiłem w życiu wiele rzeczy. Byłem uczniem. Szpiegiem. Ofiarą na ołtarzu. Rośliną doniczkową. Dzisiaj jednak jestem kimś zupełnie innym – kimś znacznie bardziej przerażającym niż to wszystko.

Jestem pisarzem.

Może zauważyliście, że zacząłem swoją opowieść krótką, chwytliwą sceną zagrożenia i napięcia, ale potem przeszedłem do znacznie nudniejszego wywodu o swoim dzieciństwie. To dlatego, że chciałem wam coś udowodnić: to, że *nie jestem dobrym człowiekiem*.

Czy dobry człowiek zacząłby od tak emocjonującej sceny, a potem kazał wam czekać niemal całą książkę, by o tym

przeczytać? Czy dobry człowiek napisałby książkę ujawniającą prawdziwą naturę świata wam, nieświadomym Ciszlandczykom, siejąc tym samym zamęt w waszym życiu? Czy dobry człowiek napisałby książkę, która dowodzi, że Alcatraz Smedry, największy bohater Wolnych Królestw, był złośliwym nastolatkiem?

Pewnie, że nie.

Następnego ranka obudziłem się w złym nastroju, zirytowany odgłosem walenia w drzwi na dole. Wygramoliłem się z łóżka i narzuciłem szlafrok. Chociaż zegar pokazywał dziesiątą, ciągle byłem zmęczony. Nie spałem do późna, pograżony w myślach. Potem Joan i Roy próbowali się pożegnać. Nie otworzyłem im drzwi. Lepiej kończyć wszelkie sprawy bez całej tej egzaltacji.

Nie, nie byłem zadowolony z pobudki o dziesiątej – ani, prawdę mówiąc, o jakiegokolwiek godzinie. Ziewnąłem, zszedłem na dół i otworzyłem drzwi, przygotowany na spotkanie z asystentem, którego przysłała po mnie panna Fletcher.

– He... – powiedziałem. (Nie miałem czkawki, ale natarczywy głos przerwał mi, zanim zdążyłem dojść do „j”).

– Alcatraz, mój chłopcze! – wykrzyknął mężczyzna w drzwiach. – Wszystkiego najlepszego!

– ...j – dokończyłem.

– Chyba masz czkawkę, chłopcze! – powiedział mężczyzna, wciskając się do domu. Był starszym człowiekiem, ubranym w kruczoczarny smoking, nosił też dziwne, barwione na czerwono okulary. Był łysy, nie licząc biegnącego wokół

tyłu głowy niewielkiego pasma siwych włosów, które sterczały potargane. Miał sumiaste wąsy, w podobnym nieładzie, i uśmiechnął się dość szeroko, gdy odwrócił do mnie swoją pomarszczoną twarz i oczy błyszczące z emocji.

– No, mój chłopcze – powiedział – jak się czujesz, mając trzynaście lat?

– Tak samo jak wczoraj – odparłem, ziewając. – Kiedy naprawdę miałem urodziny. Widocznie panna Fletcher podała panu błędną datę. Jeszcze się nie spakowałem. Musi pan poczekać.

Wolnym krokiem ruszyłem w stronę schodów.

– Czekaj – powiedział staruszek. – Urodziny miałeś... wczoraj?

Skinąłem głową. Nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka, ale panna Fletcher miała kilkoro asystentów. Nie znałem wszystkich.

– Na dudniące dudy! – wykrzyknął. – Spóźniłem się!

– Nie – odparłem, wspinając się na schody. – Przyszedł pan nawet za wcześnie. Jak mówiłem, musi pan poczekać.

Mężczyzna pognał za mną w górę schodów.

Odwróciłem się i zmarszczyłem brwi.

– Może pan zaczekać na dole.

– Szybko, chłopcze! – powiedział. – Nie mogę czekać. Niedługo dostaniesz pocztą paczkę i...

– Zaraz. Wie pan o paczce?

– Pewnie, pewnie. Nie mów, że już przyszła?

Pokiwałem głową.

– Na potajemne potoki! – zawołał. – Gdzie, mój drogi?
Gdzie ona jest?

Zmarszczyłem czoło.

– Panna Fletcher ją przysłała?

– Panna Fletcher? Nigdy o niej nie słyszałem. To pudełko przysłali twoi rodzice, mój chłopcze!

Nigdy o niej nie słyszał?, pomyślałem i dotarło do mnie, że w ogóle nie spytałem, kim jest. *Pięknie. Wpuściłem do domu wariata.*

– Oj, do licha! – powiedział staruszek, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej parę barwionych na żółto okularów. Szybko włożył je w miejsce czerwonych, po czym rozejrzał się dookoła. – Tam! – zawołał i pognął w górę po schodach, przepchnąwszy się obok mnie.

– Hej! – zawołałem, ale się nie zatrzymał. Mamrocząc do siebie, ruszyłem za nim. Mężczyzna był zaskakująco żwawy jak na swój wiek i dotarł do drzwi mojego pokoju w ledwie kilka chwil.

– To twój pokój, mój chłopcze? – spytał. – Prowadzi do niego mnóstwo śladów. Co się stało z klamką?

– Odpadła. W mój pierwszy wieczór w tym domu.

– Dziwne – stwierdził, otwierając drzwi. – Dobra, gdzie to pudełko...

– Proszę pana – powiedziałem, przystając na progu. – Musi pan wyjść. Inaczej wezwę policję.

– Policję? Czemu miałbyś to zrobić?

– Bo jest pan w moim domu – odparłem. – No... w każdym razie w moim byłym domu.

– Ale sam mnie wpuściłeś – zauważył.

Zawahałem się.

– A teraz mówię, żeby pan wyszedł.

– Ale dlaczego? Nie poznajesz mnie, mój chłopcze?

Uniosłem brwi.

– To ja, twój dziadek! Dziadek Smedry! Leavenworth Smedry, *Oculator Dramatus*. Nie mów, że mnie nie pamiętasz... Byłem przy twoich narodzinach!

Zamrugalem. Potem zmarszczyłem czoło. Potem przechyliłem głowę na bok.

– Był pan przy...

– Tak, tak – odparł staruszek. – Trzynaście lat temu. Od tamtej pory mnie nie widziałeś, ma się rozumieć.

– I miałbym to pamiętać? – spytałem.

– No oczywiście! Każdy Smedry ma wyjątkową pamięć. Dobrze, co do tego pudełka...

Dziadek? Z pewnością kłamał, ma się rozumieć. Nie mam nawet rodziców. Dlaczego miałbym mieć dziadka?

Teraz, z perspektywy czasu, zdaję sobie oczywiście sprawę, że to było głupie pytanie. Każdy ma dziadka, a nawet dwóch. To, że ich nie widziałeś, nie oznacza, że nie istnieją. Pod tym względem dziadkowie są trochę jak kangury.

Tak czy inaczej, z całą pewnością powinienem był wezwać policję do tego leciwego intruza. Od tamtej pory to on stanowił główne źródło moich kłopotów. Niestety nie wyrzuciłem

go za drzwi. Zamiast tego patrzyłem tylko, jak odkłada swoje barwione na żółto okulary i znowu wydobywa te drugie, czerwone. Potem zauważył w końcu pudełko na mojej komodzie i zabazgrany brązowy papier, który wciąż leżał obok. Z zapałem ruszył w tamtą stronę.

Sam to wysłał?, zastanawiałem się.

Sięgnął do pudełka i dziwnie nabożnym ruchem wydobyl kartkę. Przeczytał ją, uśmiechnął się czule i podniósł wzrok na mnie.

– No, gdzie to jest? – spytał dziadek Smedry czy kim tam naprawdę był.

– Co gdzie jest?

– Spadek, chłopcze!

– W pudełku – odparłem, wskazując paczkę.

– Nie ma tu nic oprócz listu.

– Co? – zdziwiłem się i podszedłem bliżej. Rzeczywiście, pudełko było puste. Woreczek z piaskiem zniknął.

– Co z nim zrobiłeś? – spytałem, przechodząc na „ty”, skoro podawał się za mojego dziadka.

– Z czym?

– Z woreczkiem piasku – odrzekłem.

Staruszek westchnął z podziwem.

– Czyli naprawdę przyszedł? – wyszeptał z szeroko otwartymi oczami. – W tym pudełku naprawdę był woreczek piasku?

Powoli pokiwałem głową.

– Jakiego koloru był piasek, chłopcze?

– Eee... piaskowego?

– Na galopujące gازه! – wykrzyknął. – Spóźniłem się! Musieli dotrzeć tu przede mną. Szybko, chłopcze. Kto był w tym pokoju, od kiedy odebrałeś paczkę?

– Nikt – stwierdziłem. Myślę, że w tym momencie odczuwałem już lekką frustrację i coraz większą dezorientację. Nie wspominając o głodzie i ciągłym zmęczeniu. Byłem też obolały po wufie w poprzednim tygodniu. Ale to wszystko nie ma wielkiego znaczenia, prawda?

– Nikt? – powtórzył. – Nikt inny nie był w tym pokoju?

– Nikt – warknąłem. – Zupełnie nikt. – Oprócz... – Zmarszczyłem czoło. – Oprócz panny Fletcher.

– Kim jest ta panna Fletcher, o której ciągle mówisz, chłopcze?

Wzruszyłem ramionami.

– Moją kuratorką.

– Jak wygląda?

– Okulary – powiedziałem. – Pretensjonalna mina. Zwykle upina włosy w kok.

– Okulary – powtórzył powoli dziadek Smedry. – Czy... w rogowych oprawkach?

– Zazwyczaj.

– Na horrendalną hiperwentylację! – wykrzyknął. – Bibliotekarka! Szybko, chłopcze, musimy iść! Ubierz się. Ja ukradnę trochę jedzenia twoim rodzicom!

– Zaraz! – zawołałem, ale już wybiegł z pokoju w niespodziewanym pośpiechu.

Stałem oszołomiony.

Panna Fletcher?, pomyślałem. *Zabrała spadek? To głupie.* Po co jej jakiś woreczek z piaskiem? Pokręciłem głową, niepewny, co o tym wszystkim myśleć. W końcu podszedłem po prostu do komody. Przynajmniej się ubrać – ten pomysł wydawał się dobry. Włożyłem dżinsy, koszulkę i moją ulubioną zieloną kurtkę.

Gdy skończyłem, dziadek Smedry wpadł z powrotem do mojego pokoju z dwiema zapasowymi aktówkami Roya w rękach. Zauważyłem wystający z jednej liść sałaty, z drugiej zaś wyciekał chyba keczup.

– Masz! – powiedział, wręczając mi aktówkę z sałatą. – Spakowałem nam drugie śniadanie. Nie wiadomo, ile mi nie czasu, zanim będziemy mogli zrobić sobie przerwę na posiłek!

Podniosłem teczkę i zmarszczyłem czoło.

– Spakowałeś drugie śniadanie do aktówek?

– Tak będzie wyglądać mniej podejrzanie. Musimy wtopić się w otoczenie! A teraz w drogę. Bibliotekarze pewnie już się zajęli tym piaskiem.

– I co? – spytałem.

– I to! – wykrzyknął staruszek. – Chłopcze, dzięki temu piaskowi Bibliotekarze mogą niszczyć królestwa, unicestwiać kultury, zawładnąć światem! Musimy go odzyskać. Trzeba uderzyć szybko i zapewne z narażeniem życia. Ale to normalne dla Smedrych!

Opuściłem aktówkę.

– Skoro tak mówisz.

– Zanim wyruszymy, muszę wiedzieć, czym dysponujemy. Jaki masz talent, chłopcze?

Zmarszczyłem brwi.

– Talent?

– Tak – potwierdził dziadek Smedry. – Każdy Smedry ma jakiś talent. Jaki jest twój?

– Eee... Gra na oboju?

– Nie czas na żarty, chłopcze! – stwierdził. – To poważna sprawa! Jeśli nie odzyskamy tego piasku...

– No – westchnąłem. – Nieźle mi idzie psucie różnych rzeczy.

Dziadek Smedry zamarł.

Może nie powinienem igrać ze staruszką, pomyślałem z poczuciem winy. Może jest świrem, ale to jeszcze nie powód, żeby stroić sobie z niego żarty.

– Psucie różnych rzeczy? – powtórzył z podziwem w głosie. – A zatem to prawda. Ojej, takiego talentu nie widziano od wieków...

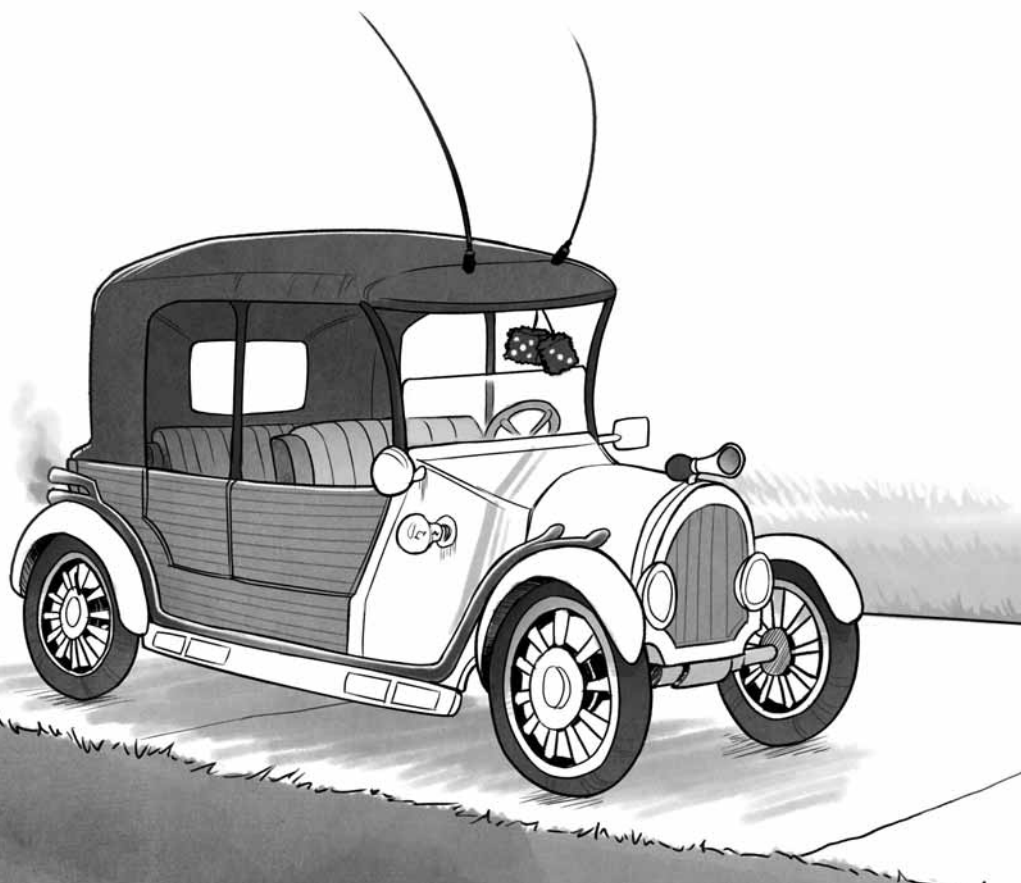
– Słuchaj – wtrąciłem, podnosząc ręce. – Tylko się wygłupiałem. Nie chciałem powiedzieć...

– Wiedziałem! – przerwał mi dziadek Smedry z zapamiętaniem. – Tak, tak, to zwiększa nasze szanse! Chodź, chłopcze, musimy ruszać. – Odwrócił się i znowu wyszedł z pokoju, niosąc aktówkę, po czym gorączkowo zbiegł po schodach.

– Zaczekaj! – zawołałem i popędziłem za nim. Gdy jednak dotarłem do drzwi, zawahałem się.

Na zewnątrz przy krawężniku stał zaparkowany samochód. Stary samochód. Kiedy czytacie słowa „stary samochód”, wyobrażacie sobie pewnie zdezelowany albo zardzewiały pojazd, który ledwo jeździ. Samochód, który jest stary w takim sensie, w jakim stare są kasety magnetofonowe.

To nie był taki samochód. Nie był stary w takim sensie, w jakim stare są kasety magnetofonowe. Nie, ten samochód był stary w takim sensie, w jakim stary jest Beethoven. A przynajmniej tak mi się wydawało. Dla mnie – i zapewne dla



większości z was, mieszkających w Ciszlandach – wyglądał jak antyk. Trochę jak ford model T.

Ale to było tylko moje przypuszczenie.

Rzecz w tym, że często pierwsze wrażenie na temat czegoś – albo kogoś – jest nietrafne. A przynajmniej niepełne. Weźmy na przykład młodego Alcatraza Smedry’ego. Po doczytaniu mojej opowieści do tego miejsca na pewno macie jakieś przypuszczenia. Może nawet – pomimo moich najlepszych starań – odczuwacie do mnie jakąś sympatię. W końcu sieroty to zwykle bardzo sympatyczni bohaterowie.

Może sądzicie, że mój nawyk posługiwania się sarkazmem to po prostu metoda kamuflowania swojej niepewności. Może



uznaliście, że nie byłem chłopcem okrutnym, a jedynie bardzo zagubionym. Może uznaliście, pomimo mojej pozorowanej obojętności, że nie lubiłem psuć.

Najwyraźniej posiadacie kiepską umiejętność oceny sytuacji. Proszę o powstrzymanie się od wyciągania wniosków, których sam wprost nie narzucam. To bardzo zły zwyczaj, który drażni autorów.

To nie była żadna z tych rzeczy. Byłem po prostu wrednym chłopcem, którego tak naprawdę nie obchodziło, czy spali jakąś kuchnię, czy nie. I to właśnie ten wredny chłopiec stał w progu, patrząc, jak dziadek Smedry gorączkowo macha, by za nim podążył.

Dobrze, mogę przyznać, że odczuwałem leciuteńką tęsknotę. A może... pragnienie, tak to można nazwać. Paczka, którą rzekomo nadali moi rodzice, przywołała wspomnienie dawnych dni – zanim do mnie dotarło, jaki byłem głupi – kiedy pragnąłem poznać swoich prawdziwych rodziców. Dni, kiedy pragnąłem znaleźć kogoś, kto musiał mnie kochać, choćby tylko ze względu na pokrewieństwo.

Na szczęście wyrosłem z tych uczuć. Moja chwila słabości szybko minęła, zatrzasnąłem drzwi, zostawiając mężczyznę na zewnątrz. A potem poszedłem do kuchni zjeść śniadanie.

Wtedy jednak ktoś wymierzył do mnie z pistoletu.

**Bohater z talentem do... bycia wyjątkową ofiarą losu?
Misja na śmierć i życie, by uratować woreczek piasku?
Śmiertelne zagrożenie ze strony... Bibliotekarzy?
Naprawdę?!**

Alcatraz Smedry nie wydaje się przeznaczony do niczego poza katastrofami. Na trzynaste urodziny otrzymuje paczkę ze spadkiem po nieżyjących rodzicach – a w niej zwykły woreczek ze zwykłym piaskiem. Prezent zostaje jednak niemal natychmiast skradziony. To uruchamia lawinę zdarzeń, które uświadomią Alcatrazowi, że jego rodzina jest częścią grupy walczącej przeciwko Bibliotekarzom – tajnej, niebezpiecznej i złowrogiej organizacji, która faktycznie rządzi światem. Piasek Raszida ma pozwolić Bibliotekarzom zdobyć władzę absolutną. Alcatraz musi ich powstrzymać... uzbrojony wyłącznie w okulary i wyjątkowy talent do bycia wyjątkową ofiarą losu...

Lemony Snicket i komiksy o superbohaterach w jednym.
„Publishers Weekly”

www.iuvi.pl

Patroni medialni:

GAZETA
wyborcza

DOBRE KSIĄŻKI

Cogito

WYDAWCA
ANGORKA

BRAVO

Wydawnictwo
Victor
Wydawnictwo

 **lubimyczytać.pl**

WP

Cena 29,90 zł (w tym 5% VAT)
ISBN 978-83-7966-029-2



9 788379 660292